

Kontrola kontroli

10 stycznia 2013

Jako członek komisji rewizyjnej suwalskiej rady miasta kontrolowałam działalność miejscowego ośrodka pomocy społecznej.

Cała energia zarządzających idzie na sprawne administrowanie kasą. Budżet ma się spinać – tylko tyle. Troska dotyczy przede wszystkim zasiłków rodzinnych czy dopłat do mieszkań, które muszą być wypłacone wszystkim spełniającym kryteria. W przeciwnym razie delikwent pójdzie do sądu. Niepotrzebne koszty wytknie komisja rewizyjna, prezydent miasta przytnie więc premie pracownikom opieki społecznej, nawet jeśli przy tej okazji skrzywdzi ciocię, szwagierkę czy kochankę. Trzeba bowiem powiedzieć, że nawet kiepsko płatny etat w samorządzie to rzecz łakoma, rzadko dostępna dla osób spoza układu.

Obywatele sądzą, że jak nie mają chleba czy lekarstw, to pomoc społeczna da na nie szmał. Co zdarza się niektórym, choć naturalnie wszyscy mogą złożyć kwity, z których wynika, że są głodni i chorzy.

Urzednicy muszą kwity zebrać, przeprowadzić wywiad środowiskowy i zdecydować, czy dać kasę. Na jaki okres? A może wystarczy zasiłek celowy na zakup bochenka chleba i zrealizowanie jednej recepty?

Jeśli wpływają skargi na ośrodki pomocy społecznej, to przede wszystkim dotyczą niewłaściwego przyznawania pomocy finansowej. Wzorzec: Iksińscy biorą zasiłek, choć jeżdżą merolem, bo żonka przyjaźni się z panią Stasią z MOPS. Niesłychanie rzadko ktoś donosi, że sąsiedzi bezkarnie katuja dzieci.

Naturalnie nikt się nie przyczepi, jeżeli zasiłek celowy nie zostanie przyznany, chyba że podopieczny widowiskowo umrze z głodu, o czym doniesie prasa. Jako prasa wiem, że to trudne.

Nauczyciel z powiatu ełckiego doniósł mi, że uczeń przekreślił się, bo nie dojadał. Po dowody odesłał do lekarza. Medyk oświadczył, że to nieuprawnione uproszczenie, bo dzieciak cierpiał na wiele różnych chorób.

Czuwanie nad błądzącymi rodzinami to margines działalności ośrodków pomocy. Ta czarna praca jest powierzana początkującym, bo przecież nikomu ustawionemu nie chce się łązić po melinach. Zwykle urzędnik rusza w teren, gdy skończy być buchalterem. Czyli jest zmęczony, a do końca roboty zostały 2 godziny, z których jedną warto poświęcić na zwinięcie gołąbków, bo przecież należy dbać również o własne dzieci.

– Nikt się do tego nie przyzna, ale praktyka jest taka, że umawiamy się z kontrolowanymi na wizyty – twierdzi pani Katarzyna, w zawodzie od 4 lat.

Powód jest oczywisty: jeśli zostanie zamknięte drzwi, musi przyjść następnego dnia i kolejnego. A obsługuje kilkudziesięciu podpadziochów. Załóżmy – sześćdziesięciu. Jeśli odwiedza ich raz w miesiącu, codziennie powinna zaliczyć dwóch.

Naturalnie opiekunowie, uprzedzeni o wizycie, myją dzieci, kupują chleb i wkładają mleko do lodówki, nawet jeśli zwykle stoi tam jedynie piwo.

Najważniejsze jest w tej robocie wypełnianie kwitów. Najlepszy pracownik żyjący problemami podopiecznych popłynie po byle kontroli, jeśli nie będzie systematycznie przelewać swoich obserwacji na papier.

One nie muszą być wnikliwe ani nie muszą prowadzić do logicznych wniosków. Jeśli na głowie dziecka są siniaki, można powiadomić sąd (uwaga, procedura jest czasochłonna), ale można też pouczyć matkę, że bicie dziecka nawet trzepaczką do piany to kryminał.

Jeśli urzędnik nie uzgadnia terminów wizyt z kontrolowanymi, i tak wiedzą, że może wpaść w dni robocze w godzinach urzędowania, czyli od poniedziałku do piątku między 7.30 a 15.00. Po południu, w soboty, niedziele i dni wolne od pracy rodziny z marginesu mogą katować dzieci do woli.

– Na domiar złego prawo jest absurdalne – skarżą się co wrażliwsi pracownicy opieki społecznej.

Głośna sprawa opisana przez toruńskie „Nowości”. 64-letniej bezdomnej nie można pomóc, bo nie ma centrum życiowe go, czyli adresu. Skoro nigdzie nie mieszka, nie ma prawa ubiegać się lokal komunalny.

Inna historia:

– Mieliśmy kobietę chorą psychicznie, zagrażającą bliskim. Złożyliśmy wniosek do szpitala psychiatrycznego o zabranie jej na badania, bo taka jest procedura – opowiadają w jednym z ośrodków pomocy.

– Musi być zgoda sądu – odpowiedział szpital.

– Bałam się, że zanim uzyskamy zgodę, może dojść do tragedii. Koleżanki zadzwoniły do szpitala jako przerażone sąsiadki. No i za chwilę przyjechała karetka – relacjonuje pani Barbara.

Czy to jest zachowanie na nagane, czy na medal? Jedno wiadomo na pewno: lepiej nie zostawiać po nim śladu w kwitach.

Autor: Bożena Dunat

Źródło: [„Nie” nr 46/2012](#)